

# TROJACZKI I COŚ ZYWEGO.

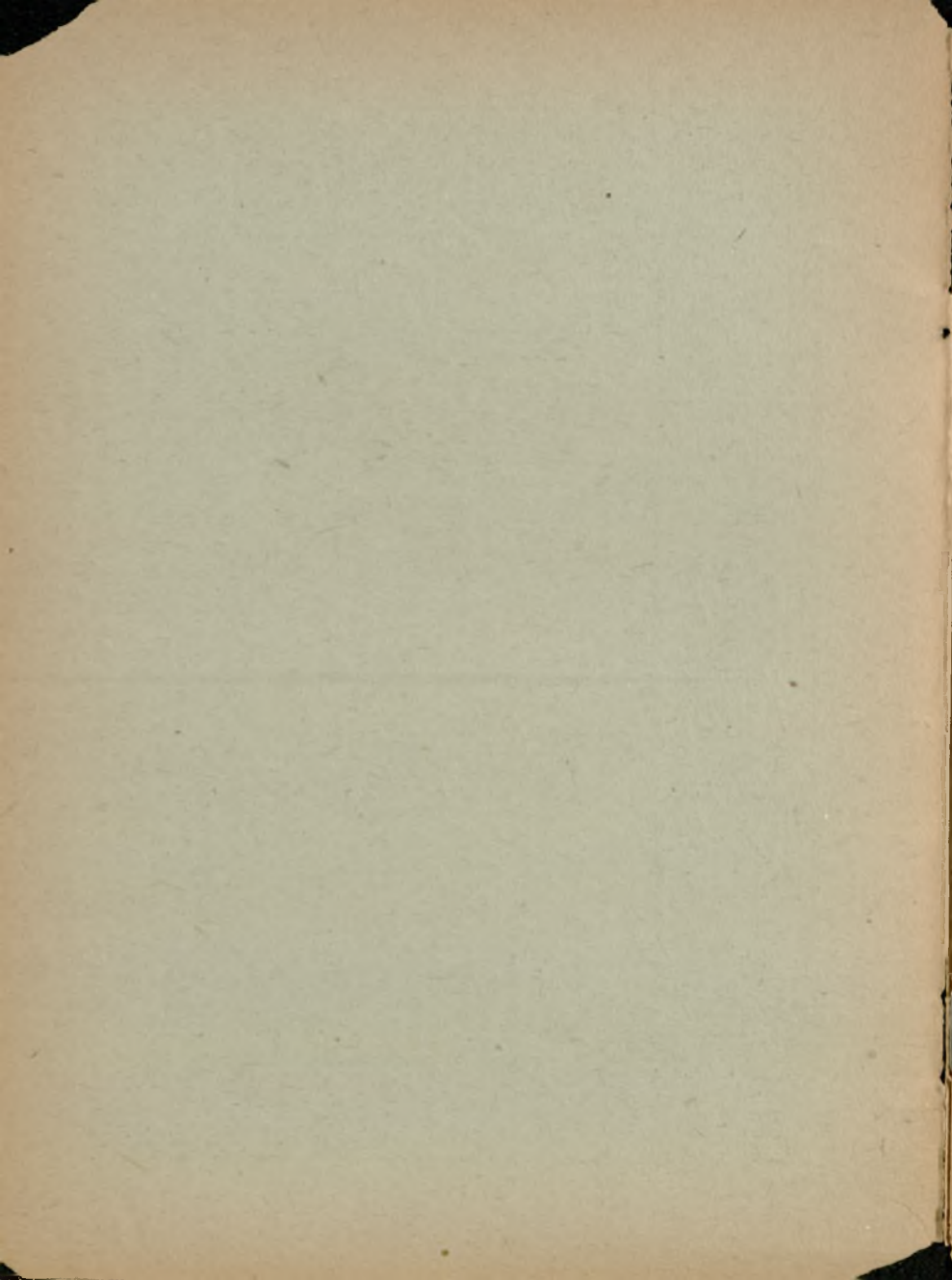
Dwa ciekawe opowiadania o tem, jak to dobrze  
mieć dzieci i jak to źle nie mieć dzieci.



1910

SKŁAD GŁÓWNY

A. A. PARYSKI, TOLEDO, OHIO, U. S. A.



# TROJACZKI I COS ŻYWEGO

---



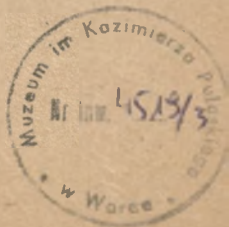
Dwa ciekawe opowiadania o tem, jak to do-  
brze mieć dzieci i jak to źle  
nie mieć dzieci.



1910

SKŁAD GŁÓWNY

A. A. PARYSKI, TOLEDO, OHIO.







# TROJACZKI.

(z francuskiego)

---

Wiadomo ogólnie, że Francyi grozi wyludnienie, bo ilość urodzin stale się zmniejsza w tym kraju. Większą liczbę dzieci nad dwoje rzadko się spotyka w rodzinach francuskich. Za zasługę poczytywane więc bywa liczne potomstwo. Na tem tle napisana jest poniższa powiastka.

---

— A to ładna historia! Troje! No, patrzcie państwo: Ktoby to się spodziewał! — mówiła, kiwając głową, pani Truchant.

— Jakto: troje? — zapytał Cure, sądząc z zaplamionego farbami ubrania, malarz pokojowy. — A to można oszaleć! Trojęta, co? A przecież jest już tego drobiazgu pięcioro!

Słyszając te słowa, żona malarza uniosła nieco głowę od poduszki, spoglądając z uśmiechem bezgranicznej miłości macierzyńskiej na troje maleństw.

Tego już było szczęśliwemu ojcu nadto. Po owinięciu trojga niemowląt w pieluszki i złożeniu ich do kołyski, przygotowanej tylko dla jednego przyby-

sza, Cure zaczął kłąć, miotając się po izbie w bezsilnej wściekłości. Aby go uspokoić, pani Truchant przypomniała mu, że obok śpi pięcioro dzieci, których nie trzeba budzić, aby chora miała spokój.

Wkrótce też, gdy zrobiła wszystko, co należało, przy chorej, zabrała się do odejścia, upominając się przezornie o swą należność. Cure dał jej dwadzieścia franków — wynagrodzenie umówione.

— Nie, panie Cure, to trochę mało. Prawda, umówiliśmy się tyle, ale za jednego bębna. . . A tu było trzech!

— Więc co? Może mam pani zapłacić po dwadzieścia franków od każdego?

— No, dla pana, niech już będzie — pięćdziesiąt.

Po długim targu pani Truchant zgodziła się na czterdzieści i odeszła, zapewniając Curego, że zrobił na trojaczkach doskonały interes.

Wkrótce jej przepowiednia poczęła się sprawdzać. Całe miasteczko było poruszone losem ojca, który pomimo znanej i uznanej powszechnie pracowitości i sumienności nie mógł zarobić na utrzymanie i wyżywienie ośmiorga dzieci. Odwiedzając chorą, sąsiadki zostawiały liczne dowody swego współczucia — i nazajutrz przed wieczorem było już w ubogim mieszkaniu na stole pięć funtów czekolady, trzy kawy, pięć butelek wina, jedna araku, cztery garnki mleka, kilka worków kaszy i grochu, a chleba i zimnego mięsiwa — bez liku.

— Dobrzy ludziska — szeptał rozrzewniony Cure. — Teraz nie umrzemy już z głodu.

Trzeciego dnia po pamiętnem wydarzeniu, jakim niewątpliwie było dla całego miasteczka przyjęcie na świat trojaczków, Curego odwiedził sam pan mer Lejeune, przynosząc dwadzieścia franków tytułem zapomogi bezzwrotnej, przyznanej na posiedzeniu nadzwyczajnem rady miejskiej. Pani merowa urządziła poza tem na swoją rękę kwestę, której wynik był prawdziwie nadzwyczajny: dla rodziny Curego złożono trzysta piętnaście franków!

— Proszę panie Cure — mówiła pani merowa, kładąc na stole złoto, srebro i banknoty. — To na pierwsze potrzeby. Bądźcie spokojni. Nie zapomnieliśmy o was. Tęgi z was patriota i szczerzy republikanin.

Cure, który nigdy w życiu nie miał tyle złota, nie posiadał się z radości, nie wiedział, jak dziękować...

Po dwóch dniach mieszkanko Curego przeszczyciła swemi odwiedzinami pani baronowa du Cheylard, jedna z najczynniejszych agitatorek stronnictwa konserwatywno-monarchicznego.

— Kochany panie Cure — rzekła na wstępie. — Wiem, że jesteś pan szczerym monarchistą i nienawidzisz tej obmierzłej republiki. Ci panowie i te panie z gminy sądzą widocznie, że jest ich wyłącznym przywilejem przychodzić z pomocą ludziom biednym, lecz zasłużonym. Otóż pomylili się razem ze swoim



merem, panem Lejeune, który napewno przypadnie na najbliższych wyborach do rady okręgowej. Proszę — oto czterysta trzydzieści franków — odemnie, mojego męża i naszych przyjaciół politycznych.

Od tego dnia rozpoczęła się prawdziwa licytacja na hojność między monarchistami a republikanami. Pani baronowa kwestowała między pierwszymi, pani merowa między drugimi — a Cure chował skrzętnie wszystkie datki — i w końcu miesiąca, po spłaceniu wszystkich długów, zapłaceniu komornego, kupieniu dla całej rodziny odzieży i bielizny — zaniósł do kasy oszczędnościowej tysiąc franków. Przytem roboty miał tyle, że nie mógł wprost nadażyć. W całym miasteczku malowano na gwałt nie tylko domy, pokoje, lecz nawet parkany i płoty — aby Curemu nie zabrakło pracy i chleba dla ośmiorga dzieci.

Po upływie pół roku Cure miał już w kasie przeszło pięć tysięcy franków.

W końcu roku, wobec bliskiego terminu wyborów do rady okręgowej, agitacja w miasteczku i okolicy wzrosła do niesłychanych rozmiarów. Walka toczyła się głównie między przedstawicielem republiki, Lejeune'em, a kandydatem monarchistów, baronem du Cheylard. Ich szanse były niemal równe.

Na decydującym wiecu przedwyboreczym ścierały się bardzo ostro głosy za i przeciw obu kandydatom — i nie można było powiedzieć, który z nich będzie zwycięską. Lecz, zanim przystąpiono do próbnego głosowania, aptekarz Rieux, znany dowcipniś na



całą okolicę, wygłosił pamiętną mowę, która nieprędko zatrze się w pamięci mieszkańców miasteczka.

— Obywatele — zaczął stentorowym głosem. — Ani baron du Cheylard, ani pan mer Lejeune nie położyli prawdziwych zasług dla republiki. Przeprowadzenie nowych dróg, wiercenie studzien, zakładanie przytułków — oto cała ich zaleta. Lecz nasza ojczyzna potrzebuje więcej — niż studzien, dróg i przytułków — zdrowych ramion do kierowania le-mieszem i dźwigania karabina. Mieć dużo, jak najwięcej dzieci — oto jest prawdziwa zasługa obywatelska! Czy taką zasługą mogą się wykazać panowie Lejeune i du Cheylard? Bynajmniej! Pierwszy ma córkę, a drugi nie ma nic... Obywatele! Widzę tu, w tej sali, skromnego, lecz dzielnego człowieka, który ma ośmioro dzieci, w tej liczbie siedmiu synów... Mam na myśli obywatela Cure... Jego wybierzmy! Jemu oddajmy nasze głosy, bo na nie zasłużył, bo dał Francyi to, na co może się zdobyć niewielu obywateli republiki!

Wśród wyborców zapanował entuzjazm. Nazwisko Curego umieszczono na urzędowej liście kandydatów.

W najbliższą niedzielę odbyły się wybory — i mer Lejeune otrzymał o kilkaset głosów więcej od Curego. Baron du Cheylard był trzecim z kolei, lecz, nie chcąc dopuścić do zwycięstwa swego wroga politycznego, Lajeune'a, przy głosowaniu ściślejsem oddał głosy swego stronnictwa Cure'mu.

I Cure został wybrany. Co prawda, pan mer przestał mu wypłacać zapomogi, lecz Cure nie dbał już o nie: Myślał o rzeczach poważniejszych: o mandacie poselskim do parlamentu. Przez dłuższy czas nie wychodził z domu, nie pokazywał się nigdzie. Gdy ukazał się wreszcie w miasteczku, nieco wychudły i wybladły, skierował swe kroki do mieszkania pani Truchant.

— Co, znów?

— Jeszcze nie, ale niezadługo. Zrobiłem wszystko, co było w mej mocy. Tym razem niech się pani przygotowuje na czworaczki...

— Co? A to panu na co potrzebne?

— Jaktó na co? będę deputowanym, a później ministrem...

---

# COŚ ŻYWEGO.

---

- Karolu! . . .
- Słucham cię, duszko?
- Podaj mi tę książkę.
- Tę, zieloną? . . .
- Tę, zieloną!
- Proszę cię.
- Dziękuję.
- Karolu! . . .
- Jestem. A czego ci potrzeba?
- Ja nie chcę tej zielonej książki!
- Nie chcesz? . . . A mówiłaś?
- Tak, mówiłam. Ale teraz chcę tę żółtą.
- Tę żółtą? . . . Służę ci!
- Dziękuję.
- Karolu! . . .
- A co? Nie chcesz i tej żółtej?
- Nie chcę! Nie chcę wcale książki. Ja chcę  
ograć trochę. Proszę cię, otwórz mi fortepian.
- Fortepian? Z przyjemnością . . . Już otwarty.
- Dziękuję ci, zaraz idę.
- Dobrze.
- Karolu! . . .

— O, duszko! Jaka ty jesteś dziś znowu kapryśna! Odrywasz mnie od pracy! Czegoż ci jeszcze potrzeba?...

— Czego?... Możebyśmy poszli na spacer?

— Kiedy przecież deszcz pada.

— Tak?... No, to chociaż wieczorem do teatru?

— Do teatru? Byliśmy przecież wczoraj! Dzisiaj to samo grają.

— To samo... Ale kiedy ja się tak nudzę, tak bardzo nudzę.

— Nudzisz się?

— A tak, bo nie mamy dzieci, bo u nas tak pusto...

— Pusto?

— Tak! Zupełnie pusto!... Bo żebyśmy mieli coś żywego...

— Żywego?... Może psa, kota?

— Nie, ale chociaż cudze dziecko...

— Cudze dziecko?!

— No, tak! Żebyśmy wzięli na wychowanie...

— Bój się Boga!... A cóż ci to pomoże?

— O, pomoże, pomoże, bardzo pomoże!... Ubie-rałabym, czesałabym, myłabym, karmiłabym, uczylałabym!... Byłabym bardzo szczęśliwa, bardzo szczęśliwa! Miałabym cel w życiu!

— A!... cel w życiu?!... No, dobrze, ale skąd ja ci?... Gdzie ja ci takie cudze dziecko?...

— Gdzie? skąd? To ja już wiem, wiem doskonale... Jest tu jedna taka, widzisz, kobieta. Mąż jej umarł, ma sześcioro i ostatnie, takie malutkie, mi-



lutkie, czarniutkie chce oddać, koniecznie chce oddać... Prosiła!...

— A no, jak chce oddać koniecznie... Jak prosiła...

— Więc pozwalasz?...

— Ale i owozem... z przyjemnością... Jeżeli to ma być cel w życiu... jeżeli...

— Oeh, dziękuję, mój Karolu, dziękuję ci, bardzo ci dziękuję!...

Pani Karolowa się nudzi; leży na pluszowej otomanie, głowę sparła na łokciu i wyczekuje, gdy pokojówka wprowadza wreszcie tę kobietę, której mąż umarł, która ma sześcioro dzieci i która to ostatnie, takie malutkie, milutkie, czarniutkie chce oddać, koniecznie chce oddać i prosi.

— A mój Boże, jakież ono pocieszne, jakież zabawne, jakież komiczne!... Widział to kto coś podobnego?!... Jakież ono ma nóżki cieniutkie?!... Jakież drobne rączyny?!... A oczki, jakie oczki?!... Jak dwie wisienki czarne!... Karolu! Karolu! Chodźżeż no tutaj na chwilkę! zobacz no tę figusię!

Pan Karol zjawia się, podziwia i zgadza się, jak zwykle, na wszystko z góry.

— Moja pani, a jakżeż jej na imię?

— Antonina.

— Antonina?... Więc Tosia?

— A Tosia, proszę łaski, Tosia...

— Tosia?... To wcale ładnie! To bardzo nawet ładnie! Prawda, że ładnie, Tosiu, co?!... No chodź-

żeż do mnie malutka, chodź, biedaku... O, tak, tak, na kolana do pani, do drugiej mamy, co?... Ja jestem także mama i mogę być twoja mama. Dobrze? chcesz?... nie?... A ja ci dam cukierków takich słodkich z migdałkami... czekoladkę będziesz jadła... sukieneczki ci uszyję nowe, białe, śliczne... Buciki dostaniesz zapinane na złote guziczki, jedwabne, kapelusik z piórkami, które będą tak: frrr!

Ta kobieta, której mąż umarł, która ma sześcioro i która to ostatnie, takie malutkie, milutkie, czar-niutkie oddaje, całuje panią Karolową po wypiesz-zonych rękach i płacze, cicho płacze.

— No, moja pani, nie płacz-żeż pani tak rze-wnie. Ja się małą zaopiekuję jak swoim, jak wła-snem dzieckiem... Możesz pani być pewna, że krzy-wdy jej nie zrobię, a raczej tylko wszystko dobre, wszystko, co dla jej szczęścia... No, no... nie płacz pani już... nie płacz, bo i ja przecież... i ja... Ja wiem... wiem, jak to ciężko... I ja... i ja mam też seree... i...i... i mogę także zostać matką...

I z pod powiek pani Karolowej tryskają potoki niepowstrzymanych łez.

— Ja się nią za... zaopiekuję... Ja ją... ja jak rodzone dzie... ecko... Ja... ja...

Wreszcie pan Karol musi się znowu zjawić w pokoju, w którym lament już powstaje powszechny.

Lamentuje ta kobieta, której mąż umarł i która ma sześcioro, pokojówka Wiktorya ociera mokre po-łeczki, ciekawa kucharka z kuchni wyścibia nos za-

czzerwionony nihy burak, a i to malutkie, czarniutkie, milutkie, ostatnie krzywić się poczyna żalostí, mrużyć oczki i szlochać, aż nowa mama chwytą je na ramiona porywezo i wśród pieszczot unosi w głąb mieszkania.

— No, no, no, moje zlotko! Cichojże, moja ty kruszyno!... Pomarańczkę dostaniesz czerwoną! Pomarańczkę dużą taką, a i jabłuszko!... No, no, no, moje ty zlotko!...

Boże!... Trzeba to przecież jakoś uspokoić, utulić, pogłaskać, do piersi przycisnąć!... Trzeba temu zastąpić rodzoną matkę, bo jeżeli się wzięło obowiązek, jeżeli to ma być cel w życiu...

Ale na szczęście rozpoczyna się ten cel w życiu gładko.

Pani Karolowa uspokaja Tosię, utula, głaszcze, przyeiska do piersi, a potem zaraz zabiera się do czesania, mycia, karmienia, uczenia, ubierania i jest szczęśliwa, niezmiernie szczęśliwa.

— Karolu!...

— A co, duszko?

— Patrz, jak jej w tej sukience do twarzy, patrz, patrz tylko!

— A rzeczywiście, rzeczywiście.

— Jak ja jej jeszcze kupię kapelusik. Wiesz?...  
Taki...

— Aha!...

— I trzewiczki czerwone, co?...

— Uhm!

— Albo nie czerwone, nie czerwone. Już wiem,

kupię jej pantofelki niebieskie i tego białe pończoszki, niebieski żakiecik i wstążeczki do pukli wplotę na przodzie, o takie! co?...

— Doskonale, doskonale! Masz gust, moja duszko, masz gust.

— Prawda?...

— I pójdziemy na spacer do ogrodu.

— Idźcie, idźcie!

Poszły więc tym razem, a potem już chodziły często.

Chodziły miesiąc, dwa, trzy miesiące, chodziły całe lato, całą jesień, zmieniając pantofelki, pończoszki, wstążeczki, dopóki śnieg nie spadł głęboki i nie zaczęła się zima.

A zima jest taka długa, chmurna, nudna i Tosia bez kapelusika wygląda jak koćmołuszek.

Żeby chociaż dało się coś z temi włosami...

— Czekaj, dziecko, nie kręć się, mamusia ci takie pukielki!... Nie chcesz?... Dlaczego nie chcesz?... E... jesteś kapryśna, moja kochana, a wiesz, że mamusia kapryśnych dzieci nie kocha! Stój, proszę cię, stój!... Bo będzie źle!... Słyszysz?... Nie dostaniesz cukierka!... Nie potrzebujesz?... No, to poczekaj, zaraz zawołam dziada! Niech cię weźmie, niech cię wsadzi w worek i zaniesie do Wisły!... Dziadu!... Aha! Boisz się?... boisz?... No, wyjmij paluszek z buzi, wyjmij zaraz!... Nie mrugaj tak oczkami! Nie krzyw się!... Tosia, nie krzyw, nie krzyw!... Ani mi się waź!... Już płaczesz?!... O,



skaranie boskie z takim mazgajem. Nie płacz, nie płacz, mówię ci, nie płacz!

Ale Tosia nietylko już płacze, ale wrywa się usiłującej nią potrząsnąć mamusi, pada na ziemię i zaczyna bić rękami i nogami po podłodze.

— Nie chcę dziada!... Nie Kocham dziada!... Tosia nie pójdzie do Wisły, Tosia ucietnie!...

Spazm ją jakiś porywa, gwałtowne łkania potrząsają drobną figurką i pani Karolowej przebiera się już miarka cierpliwości.

— O!... To to tak?!... A, jak tak, to ja nie chcę, to ja się weale nie bawię! bo to coś okropnego! To straszna meka! To... to... to nie do wytrzymania!... Wiktoryo!... Zabierz no tego dzieciaka do kuchni! Ja już dłużej z nim wysiedzieć w pokoju nie mogę! Ja mam już dosyć, dosyć!... Jezus, Marya! Toż to zmysły można stracić z taką beksą!.....

I służąca spełnia rozkaz bezzwłocznie.

Zabiera hałasując Tosię, wyprowadza ją do kuchni, drzwi za sobą zamyka szczelnie, a pani wyciąga się na pluszowej otomanie, główkę wspiera na łokeiu i nudzi się, śmiertelnie się nudzi.

— Bo, żeby to mieć coś żywego...

— Karolu!...

— Słucham cię, duszko?

— Kup mi pieska.

— Pieska?... A ta mała?

— Mała?... Ja nie chcę już żadnej małej, ja mam już po uszy tej małej! Ja ją kazałam zabrać

stąd, wyprowadzić! Nudzi mnie, gniewa! Niech sobie w kuchni siedzi! A ja chcę teraz pieska, pieska, takiego małego, białego, kudłatego!

— Ale co ty z nim, dzieciaku, będziesz robić?

— Co będę robić?... Będę go ubierać, rozbierać, czesać, myć, karmić, uczyć!... Będę mu wpłacać wstażeczki o, takie, takie... Uszyję mu czapraczek... patrz, jaki śliczny czapraczek... Kołderkę mam już dla niego, poduszczkę... Bo jak mi nie kupisz...

Ale pan Karol uląkł się żony i kupił jej zaraz pieska małego, białego, kudłatego...

— Dziękuję ci, mój Karolu, dziękuję! Teraz będę miała nareszcie coś żywego!

---



